

**Cena Gazety Świątecznej:**

bez przesyłania:

z przesyłaniem:

Na cały rok	2 ruble	Na rok cały	3 ruble
· pół roku	1 rubel	· pół roku	1 r. i 50 k.
· ćwierć roku	pół rubla	· ćwierć roku	75 k.

Przedpłatę na Gazetę Świąteczną wysyłać należy do **KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO**, jej pisarza, redaktora i wydawcy, w Warszawie, ulica Świętokrzyska, 2, róg Nowego-Światu.

Gazeta pojedynczo kosztuje 5 k., z przesyłką 7 k.

Za ogłoszenia od drobnego wiersza lub jego miejsca: na stronie ósmej po 50 k.; na str. dalszych po 25 k. Małe ogłoszenia stałych czytelników darmo.

Utwory wykończane w Gazecie Ś. są własnością redakcji, więc tylko za jej przyzwoleniem przedrukowywane być mogą. Rękopismów nie zwraca się.

WIEŚCI.

Nagroda za zadzewienie wydmy. W Gazecie 1382 pisano o nagrodach rządowych za zadzewianie nieużytków i o tém, kto i w jakich warunkach ma do nagród takich prawo. Dziś właśnie podajemy otrzymaną ze stron garwolińskich wiadomość o gromadzie wiejskiej nagrodzonej za pożyteczną pracę około umocnienia lotnych piasków. Oto co do nas o tém piszą:

Mieszkańcy wsi Polika pod Maciejowicami, w gubernji siedleckiej, odznaczają się tężewością, pracowitością, i wszyscy prawie umieją czytać. Przez długie lata jednak obojętnie znosili rzecz bardzo dla nich szkodliwą. Oto wieś tę otaczała na przestrzeni 30-tu morgów wydma piaszczysta, która, rozumie się, pożytku żadnego nie dawała, a co gorsza, coraz bardziej zasypywała urodzajne pola i ogrody, utrudniając nawet dostęp do wioski. Zżyli się jednak z tą wydumą policzanie i przez lata całe ani im na myśl nie przyszło, że można ją zmienić w pożyteczny, a nawet w ozdobny szmat ziemi. Dopiero przed kilku laty p. Różyński, założyciel słynnych szkółek drzew w pobliżu Podzamczu, słowem i darem potrafił zachęcić policzan do zadzewienia téj pustyni. Ofiarował im darmo ze szkółek sadzonki brzozy, akacji, a w części i sosny, ile tylko było potrzeba do zadzewienia całej wydmy, — i oto smutna ta niegdyś, szara przestrzeń, z której za lada wietrzykiem wzbijały się tumany kurzu, zieleni się i pachnie, aż miło koło niej przejeżdżać, — tém miléj, że policzanie potrafiłi też ulepszyć piaszczystą drogę przez nawiezienie gliny i pomieszanie jéj z piaskiem zapomocą brzozy. Zapewne, że tu główna zasługa p. Różyńskiego, ale i policzantom należy się pochwała, że chociaż nie odrazu i nie wszyscy, jednak z wdzięcznością skorzystali z tak szlachetnej pomocy, jak również ze wskazówek, według których pielęgnując drzewka utrzymują ten gajik w należytych porządku. Dla zabezpieczenia go od szkod-

ników całą przestrzeń dokoła ogrodzili, a na miejsce każdego drzewka uschniętego dosadzali nowe. Za tę jednak trochę trudu i zachodu aż nadto wynagradzał ich widok pięknego gajiku, który i wieś ozdobił, i pola od zniszczenia zabezpieczył. Spotkała wszakże policzan miła niespodzianka i inna, nieoczekiwana nagroda: Oto na przedstawienie proboszcza maciejowickiego, księdza A. P., o zadzewieniu tak znacznych nieużytków, rząd przyznał policzantom wielki medal srebrny i nagrodę pieniężną w ilości 200 rubli. Proboszcz radzi policzantom, aby otrzymanych pieniędzy nie dzielili między siebie, bo te kilka rubli, które każdy otrzyma, zaraz się rozejdą; lepiej więc, żeby uchwalili całe 200 rubli obrócić na spólny pożytek, — naprzykład na szkołę, albo też na koszty scalenia gruntów i rozejścia się na całkowite osady, bo potrzeba takiej zmiany coraz oczywściej się okazuje.

Wspomnieć też należy, że w parafji Maciejowickiej wszystkie główne drogi zostały sprostowane, a po usunięciu zbyt starych topoli, wysadzone przeważnie owocowymi szlachetnymi drzewkami. Dokonali tego właścianie pod kierunkiem pisarza gminnego p. Puściana. I, co najważniejsza, próba się udała: drzewka nie tylko nie zostały uszkodzone, ale owszem, są starannie pielęgnowane i pięknie się rozwijają. *L. K. D.*

Z Horodnicy, miasteczka nad rzeką Słuczą w powiecie zwiahelskim na Wołyniu, otrzymaliśmy następujące pisanie:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Kochani bracia! Jestem kapłanem na Wołyniu, przedtem zaś długo mieszkałem w stronach bliższych Warszawy, i wiem dobrze, iż wielu z was czytuje Gazetę Świąteczną, w której nieraz dobrzy ludzie zachęcali do zakładania różnych spółek, kółek rolniczych i t. d., przypominając, że jeden człowiek niewiele może zrobić, ale kilku, czy kilkunastu dokaże już bardzo dużo. Ztąd to powstało przysłowie: „w jednośi siła“. Otóż, kochani bracia, chcę tu przedstawić rzecz dobrą; wyłożywszy trochę pieniędzy można mieć dobry nabytek. Można w tych

stronach kupić niedrogo ogromny majątek, w którym jest samego lasu 18 tysięcy morgów, a las taki, że domy można budować. Kto więc ma przynajmniej 20 rubli, lub więcej, i chciałby tutaj kupić ziemi, niech o tém do mnie napisze. Gdyby zaś dowiedział się, że i wśród sąsiadów są również chętni do takiego kupna, to najlepiej niech razem z nimi pójdzie do swego proboszcza i poprosi, aby spisał wszystkich, i spis ninie przysłał. Trzeba wypisać imię i nazwisko każdego, z jakiej to jest miejscowości, ile pieniędzy może dać i ile morgów ziemi z lasem chce kupić. Pieniądzy teraz nie przysyłajcie; najprzód trzeba wiedzieć, ilu takich chętnych się znajdzie. A śpieszcie się, kochani bracia, z zapisem, aby was Niemcy nie wypędzili, bo słyszałem, że ma tu przybyć jakieś niemieckie towarzystwo, czy spółka, i ten majątek zakupić. Nie bójcie się, abym chciał was oszukać; ziemię będziecie kupowali sami, albo przez swoich pełnomocników, których wysłacie do mnie, jak tylko zbierze się w dostateczna gromadka. Dobrze wyjdziecie na tém, jeżeli usłuchacie mojej rady. Nabywcy wszystkiej ziemi staną się bez żadnej dopłaty spółwłaścicielami fabryki porcelany, oraz huty, młyna na rzece Słuczy, i całego miasteczka Horodnicy. Słowem, kupno to dobrze się nabywcom opłaci. Bierzmy przykład z żydów, jak oni składają się, ile kto może, i fabryki do spółki kupują. Zróbmy próbę, kochani bracia, pokażmy światu, że i my coś spólnie zrobić potrafimy.

Listy wysyłajcie do mnie pod adresem: Horodnica, gub. Wołyńska,

Ksiądz Ferdynand Liszewski.

Powrót. Sporo ludzi wyjeżdża wciąż od nas do Ameryki spodziewając się, że tam znajdą lepszy niż w kraju zarobek. I dopiero w Ameryce, przebywszy kosztowną, długą podróż, ujechawszy z tysiąc mil morzem, oddaliwszy się od swéj ojczyzny, tam dopiero poznają, jak bardzo się oszukali. Myśleli, że w Ameryce na nich jéno czekają, że jak tylko wysiądą z okrętu na amerykańską ziemię, zaraz dostaną robotę i sutą za nią zapłatę. Ja-

kiegoż okropnego zawodu muszą doznawać, kiedy zobaczą, że tak nie jest! A niebawem przekonują się, że w Ameryce o zarobek jest tak samo trudno, jak u nas, a nieraz może jeszcze trudniej człowiekowi obcemu, nieznanemu tamtego kraju, nawet nie umiającym rozmówić się tam z ludźmi, którzy całkiem inaczej mówią niż u nas. Temu i owemu z naszych powiedzie się, niektórym uda się nawet znaleźć wcale niezły zarobek, ale iluż to w tym obcym kraju tuła się od fabryki do fabryki, od gospody do gospody, szukając już nie lepszego, ale choćby najmniejszego zarobku, byle tylko mieć za co żywić się i za kąć w izbie do spania zapłacić. Wielu i tego nawet nie znajduje i kiedy się wyczerpie zasób pieniędzy zabranych z kraju, żyją w strasznej nędzy. Rozumniejsi nie czekają tego, i nie znalazłszy odrazu roboty, wracają copędzej do kraju, póki jeszcze jest o czém. Tak właśnie zrobiło świeżo kilkuset ludzi. Pojechali od nas do Ameryki, ale nie mogli znaleźć tam zarobku i wrócili do domu. Właśnie w tych dniach przechodzili oni z powrotem przez granicę pruską w okolicy kopalni węgla. Jakaż szkoda tych zasobów, które mieli przedtém i stracili próżno na tę daleką podróź!

Skazani gminiacy. Warszawska izba sądowa wyjeżdżała w tych dniach na sądy między innymi do miasta powiatowego Zamościa w Lubelskiem. Ze spraw, które tam osądziła, najciekawszą była sprawa kilkunastu włościan z gminy Radeznicy w powiecie zamojskim, oddanych pod sąd z powodu wiecu gminnego, który odbył się tam dnia 13 stycznia przeszłego roku. Dnia tego zgromadziło się przed urzędem gminnym około 800 ludzi. W akcie oskarżenia napisano, że tłum, a wraz z nim i wszyscy oskarżeni nie pozwolili przedewszystkiem wójtowi, Michałowi Kruszyńskiemu, sprawdzić, czy na zebraniu są tylko tacy, co mają prawo głosu na wiecach gminnych, i przez to znajdowali się tam i przemawiali także ci, którzy tego prawa nie mają; rozprawiano przytém o sprawach państwowych, co nie jest rzeczą wieców gminnych. Potém oskarżeni wraz z innymi zmusili wójta oraz pisarza Krawczyka do wpisania nieprawnych żądań do księgi uchwał gminnych, i do wypuszczenia z kozy zatrzymanego przez policję włościanina Prokopa. Włościanin Adam Jezierski z Radeznicy został oskarżony jeszcze i o to, że na tymże wiecu odczytał wobec zgromadzonych włościan pomysł uchwały gminnej, zawierającej zachętę do nieposłuszeństwa i do działania przeciwko postanowieniom władzy rządowej; była tam mowa o tém, że należy usunąć napisy rossyjskie na drogowskazach i na urzędzie gminnym, zaprowadzić niezwłocznie w szkole naukę, a w urzędach pisanie wszystkiego w języku polskim, utworzyć radę z włościan do sądzenia złodziejów i karanie ich śmiercią, że powinna być natychmiast nadana Królestwu Polskiemu autonomia czyli samorząd zupełny z sejmem w Warszawie, że rząd nie powinien odłączać od gubernji lubelskiej żadnych powiatów dla oddania ich pod zarządek generała-gubernatora kijowskiego, wreszcie była tam zachęta, aby nie płacić rządowi wcale podatków do tego czasu, aż władza zaspokoi te wszystkie żądania. Włościanin Jan Ferens z Zabuza dodatkowo jeszcze został oskarżony o to, że pomysł uchwały przechowywał w domu, żeby treść jęj rozpowszechnić

między ludźmi. Oskarżonych włościan bronili adwokaci przysięgli; Krypski z Warszawy, Jaśkiewicz z Zamościa i Możdziński ze Zwierzyńca. Sąd po namyśle wydał wyrok, którym skazani zostali: Jan Ferens z Zabuza na 5 kwartałów więzienia poprawczego, Wojciech Prokop z Żórawia na rok takiego samego więzienia, Wojciech Chwejda i Walenty Flak z Zabuza na 5 miesięcy więzienia, Jezierski Adam z Radeznicy na 6 miesięcy, Wojciech Wypych z Podborcza, Paszko Wojciech z Latyczyna, Ciastuła Michał z Wólki i Zalewa Józef z Chłopkowa, — na 2 miesiące więzienia każdy. Oskarżonych w téjże sprawie było jeszcze sześciu, ale tych sąd uniewinnił; są to: Zybala Marcin z Zabuza, Olek Marcin z Podborcza, Jaźwiński Adam z Uscia, Malinowski Józef i Sitarz Marcin z Wólki Czarnostockiej, i Krukowski Adam z Podlesia.

Ze wsi Zębózyc pod Lublinem piszą do nas:

Wieś nasza leży nad rzeką Bystrycą. Jest tak gęsto zabudowana, że prawie strzecha ze strzechą się styka. Pola mamy wąskie, ale żyzne. Pobudowaliśmy nowy kościół murowany o dwóch wieżach, z zegarem nad wejściem. (Dnia 6-go października odbyła się jego konsekracja.) Były tu dwa sklepy; jednego właściciel opłacał patent, drugi był tajemny. Wkrótce oba te sklepy zmieniły się w piwiarnie i stojąc przy drodze czyhały na powracających z kościoła, żeby ich zwabić i wyludzić choćby ostatni grosz, a co gorsza, doprowadzić do kłótni i bójki. Nieraz już do tego dochodziło; kiedys aż kamienie zwiezione na kościół zostały skropione krwią rozwścieczonej młodzieży. — Kilkadziesiąt osób w naszej okolicy zapisało się do kozłowitów, których fałszywa nauka bardzo się tu rozpanoszyła, bo nawet na Czechówce w Lublinie pobudowali sobie kozłowici kaplicę. Ale proboszcz nasz wziął się gorliwie do stłumienia odszczepieństwa, co wkrótce mu się udało. Jak tylko ogłosił na kazaniu błędy téj wiary, wnet każdy pospieszył na plebanję, aby pozrzucić z siebie te medale i sznury, w które ich pobierał w Lublinie ksiądz marjawicki. — Zawiązało się w naszej wsi i kółko rolnicze. Oświata szerzy się u nas doskonale; gospodarze sprządzają sobie Gazetę Świąteczną, a zimową porą wieczorami schodzą się do czytelnicy Macierzy szkolnej. Tam się odbywa czytanie różnych książek i gazet, które sprządza nasz proboszcz.

Z Koniuszy w ziemi Proszowskiej pod Krakowem piszą do nas:

Idąc za wskazówkami ludzi rozumnych a dobrze nam życzących zawiązaliśmy w Koniuszy jeszcze w czerwcu kółko parafjalne Macierzy szkolnej. Wstępniemu zgromadzeniu przewodniczył ksiądz wikary Domagalski. Nas, włościan, zgromadziło się dość dużo; prócz nas przybyli: p. Szańkowski z Wierzbna, p. Woźniakowski, ksiądz Sokołowski, p. Sierosławski i wielu innych. Po przemówieniu księdza proboszcza z Nasiechowic, który wyjaśnił, w jakim celu kółko to powstaje, niektórzy z obecnych zaczęli wypowiadać swoje zapatrywania i tu przekonał się się, jak wielu jest pomiędzy nami ciemnych a zarozumiałych. Najzawziętym nieprzyjacielem oświaty okazał się pewien młody gospodarz 24-morgowy. Ten nie chciał w żaden sposób zrozumieć, że ludzie mogą pracować dla dobra ogółu, nie zaś dla własnej korzyści; twierdził, że kiedy

„panowie“ tak nawołują włościan do oświaty, to muszą widzieć w tém swoją korzyść. Tłómaczono mu, że potrzebujemy szkół i że dla dobra wszystkich trzeba, aby ich było jak najwięcej, a on na to: — A gdzie się podzieją obecne szkoły, jeżeli założymy Macierz szkolną? — W odpowiedzi ktoś zaczął wyjaśniać, że w parafji znajduje się 600 dzieci potrzebujących nauki, a tylko 200 się uczy, 400 zaś biega ze psami po wsi. Wtedy on wstał, a nie wiedząc, co na to powiedzieć, ubliżył bez żadnego powodu jednemu z najzacniejszych przewodników naszych. Wtedy kilku młodych włościan oburzyło się i wyproszone wszystkich, którzy nie chcieli należeć do koła; my zaś zapisywaliśmy się na członków, a było nas 57. Niedawno otrzymaliśmy zatwierdzenie naszego koła Macierzy. Do zarządu zostali powołani: ksiądz wikary, nauczyciel L. Lipski, właściciel majątku M. Woźniakowski, K. Królikowski, T. Szańkowski, Wojciech Blietek i kilku jeszcze włościan. Wielu mamy niechętnych, którzy podejrzliwie patzą na nas i na naszą robotę, i w rozmaity a najgorszy sposób sobie ją tłómaczą, bajając, że panowie chcą pańszczyznę przywrócić, to znów, że robią „wieszadło do powieszenia chłopca“ i t. d. Ale mamy w Bogu nadzieję, że i ci niechętni przejrzą i z nami się połączą.

Andrzej Ł.

Kółko rolnicze. Z Łaznowa w powiecie brzezińskim, gubernji piotrkowskiej, piszą do nas:

Niespodziewanie założone zostało w naszej wsi kółko rolnicze. Zachęcił do tego gospodarzy ksiądz proboszcz Antoni Zakrzewski. Zapisało się około 80 członków z udziałami pieniężnymi po 10 do 50 rubli. P. Brojewicz ofiarował kółku do rozporządzenia dom bezpłatnie, zobowiązując tylko do naprawiania go w razie potrzeby. W domu tym umieszczono sklep kółka. Należy się spodziewać, że parafjanie chętniej będą kupowali w tym sklepie, niż w innych, gdzie dotychczas chcąc nie chcąc musieli we wszystko się zaopatrywać.

S. S.

Nowa kolej. W tych dniach zaczęto budować kolejkę żelazną od miasta Włocławka nad Wisłą do Brześcia Kujawskiego, oddalonego o dwie milie. Na początek kolejka ta ma służyć tylko na potrzeby fabryki cukru w Brześciu, ale jęj właściciele zamierzają w roku przyszłym przedłużyć ją jeszcze o 3 i pół mili do miasteczka Piotrkowa kujawskiego i przewozić nią nie tylko towary, ale i ludzi za odpowiednią opłatą.

Znalezione pudełko. W poniedziałek 7-go października 14-letni Wojciech Borkowski znalazł w komórce na podwórzu przy ulicy Rawskiej w mieście fabrycznym Pałjanicach pod Łodzią jakieś pudełko blaszane. Chciał pudełko otworzyć, ale było mocno zamknięte, więc wyniósł je na podwórze i uderzył kamieniem. A było to buchadło. Od uderzenia proszki wybuchowej napełniającej pudełko wybuchły z wielką siłą i oderwały chłopakowi prawą rękę i lewą nogę i wybiły oko, a nadto zraniły dwóch robotników i dwoje dzieci znajdujących się w pobliżu. Borkowski strasznie pokaleczony zmarł wkrótce męcząc się okropnie. Niezadługo po wybuchu przybyła policja z wojnikiem. Uwięziono kilkudziesięciu robotników, którym zarzucają wyrób buchadeł.

Przy ognisku. Nie byłoby nic złego z palenia ognisk na pastwiskach, zwłaszcza

kiedy jest zimno, gdyby nie to, że zwykle zabawiają się tępym same dzieci, bez opieki starszych. W tych dniach właśnie dzieci pasące gęsi we wsi Wygiełzowie pod Zawierciem, w okolicy kopalń węgla, rozpaliły sobie same ognisko na rżysku. Aż tu jedno z nich—9-letnia córka Józefa Kuligowskiego z Wygiełzowa tak blisko podsunęła się do ognia, że zajęła się na niej sukienka. Dziewczynka wreszcie z całych sił puściła się pędem do wsi; od wiatru ubranie jeszcze lepiej się paliło, a niebawem płomienie objęły całą niebogę. Gdy ludzie nadbiegli ze wsi na ratunek, dziewczynka już nie żyła.

Pożar. We wsi Kłodziu pod Sierpcem, w gubernji płockiej, wszczął się nocą na 25 września pożar w osadzie Józefa Szóstkiwicza. Spaliła się stodoła z całym sprzętem tegorocznym i sopa z osi i jorgiem bydła. Biedne zwierzęta spiekły się tak, że ani kawałek mięsa nie było można wybrać do spożycia. Prócz tego spaliła się świnią karmna, warta około 40-tu rubli.

Wybory. Za kilka tygodni ma się zebrać w Petersburgu nowy sejm mocarstwa rossyjskiego, już po raz trzeci od nadania Rossji praw konstytucyjnych. W całym państwie rossyjskim odbywają się z tego powodu wybory, ale niemożna z nich jeszcze wyiarkować, jaki ten nowy sejm będzie,—czy przeciwny obecnemu rządowi, jak oba poprzednie, czy też im przychylny. Dla Królestwa Polskiego liczbę posłów do nowego sejmiku uszczuplono, jak wiadomo, z 36-ciu na 12, a między nimi w dodatku ma być dwóch Rossjan wybranych przez samych Rossjan; jeden zaś — z gubernji suwalskiej—będzie Litwinem. Tylko więc dziewięciu Polaków z Królestwa będzie w tym sejmie. Nie zważają oni tam wiele. Wybrani mimo to będą, a troszczy się o to głównie jedna partja, zwana „narodowo-demokratyczną”. Wybory wstępne odbyły się już w tych dniach po gminach, miastach, fabrykach i na zjazdach średnich i większych gospodarzy wiejskich. Nielicznie jednak do nich ludzie przystępowali, nie tak tłumnie, jak było za pierwszym i drugim razem.

Dziesięciolecie. W tak ludnym mieście jak Warszawa niema dnia, żeby co najmniej kilkunastu ludziom nie wydarzył się jakiś nieszczęśliwy wypadek, grożący śmiercią lub ciężkim kalectwem. Tu kogoś na ulicy przejechali, tam w fabryce maszyna urwała robotnikowi rękę, ówdzie mularz spadł z drabiny lub z rusztowania, gdzieindziej znów gruz lub ziemia kogoś przyniotły i t. d. A iluż to ludzi w ostatnich latach było w Warszawie porzniętych lub postzelonych! Dawniej w takich wypadkach przechodnie gromadzili się tylko bezradnie wkoło nieszczęśliwego biedaka wijącego się z bólu na ziemi; radziby zrobić wszystko, byleby ulżyć bliźniemu, ale nie wiedzą, jak się wziąć do ratunku, bo się na tępym nie znają. I sporo czasu uchodziło zwykle napróżno, zanim ktoś zajął się bądź sprowadzeniem lekarza, bądź przewiezieniem ranionego na pierwszym-lepszym wozie do szpitala. A szybka i dobra pomoc w wielu takich wypadkach jest bardzo ważna; życie nieraz od niej zależy; niejednego biedaka pozostał na całe życie kaleką tylko dlatego, że w nieszczęśliwym wypadku, który mu się wydarzył, nie miał szybkiego ratunku. Przed paru dziesiątkami lat spalił się wielki teatr w Wiedniu, stolicy Austrii; pożar wy-

buchł nagle podczas przedstawienia, kiedy z tysiąc ludzi siedziało w teatrze bawiając się w najlepsze. Co się tam zaczęło dzieć wtedy, trudno opisać. Prócz spalonych i zabitych, były setki ludzi poparzonych, podeptanych, zduszonych, poranionych, z połamanymi rękami i nogami; wszystko to wilo się z bólu po ulicy napełniając powietrze okropnym jękiem i wżaskiem, a nie było sposobu opatrzeć ich szybko i poprzewozić do szpitali, bo na razie nie miał kto tego zrobić. Po tępym strasznym nieszczęściu jeden z lekarzy wiedeńskich wpadł na pomysł urządzenia pogotowia ratunkowego na wzór straży ogniowych. Póty też kołatał, póty zabiegał, aż wreszcie pomysł swój w czyn zdołał wprowadzić. Tak powstało w Wiedniu pierwsze pogotowie ratunkowe, a niezadługo, widząc, jaki z niego jest pożytek, poszły za tym przykładem i inne większe miasta. Po Krakowie i Lwowie, utworzono taki zakład i w Warszawie; dzięki staraniom i zabiegom gromadki ludzi dobroczynnych, a głównie ś. p. hrabiego Konstantego Przezdzieckiego i jego rodziny, powstał on w Warszawie roku 1897. Od razu też pokazało się, jak to pogotowie jest potrzebne, bo od pierwszego dnia było wzywane na ratunek po kilkanaście razy dziennie, a w latach ostatnich udziela pomocy lekarskiej w nieszczęśliwych wypadkach po 24 do 28 razy na dobę. Pogotowie mieści się w jednym z domów przy ulicy Lesznie. Tam nieustannie, dzień i noc, czuwa na zmianę po kilku lekarzy i umiejętnych szpitalników, i stoją gotowe w każdej chwili do wyjazdu parokonne powozy kryte, nie trzęsące, a urządzone tak, jak pokój szpitalny z łóżkiem. Gdy się zdarzy gdzieś na mieście wypadek nieszczęśliwy, w tej chwili ktoś z przechodniów biegnie do najbliższego domu, gdzie jest telefon, i zapomocą niego szybko daje znać o wypadku do pogotowia. W pół minuty, albo w minutę potem pędzi już rękami końmi na miejsce wypadku, trąbiąc, aby wszyscy ustępowali z drogi, powóz pogotowia z pomocą lekarską. Nieszczęśliwego opatrują lekarze na miejscu, biorą do powozu i kończąc opatunek wiozą ostróżnie do domu lub do szpitala. Dziesięć lat już istnieje takie pogotowie ratunkowe w Warszawie, a że utrzymuje się z ofiar i składek dobrych ludzi,—bo ratując nieszczęśliwych o zapłatę nie pyta,—więc teraz z powodu tego dziesięciolecia samo przypomniło się Warszawie i zapukało do kiesek. W ciągu trzech dni w tym tygodniu jego wystawcy chodzili po mieszkaniach i sklepach i zbierali tym sposobem przeszło 20 tysięcy rubli.

Wystawa rolnicza w Ciechanowie.

(Ciąg dalszy.)

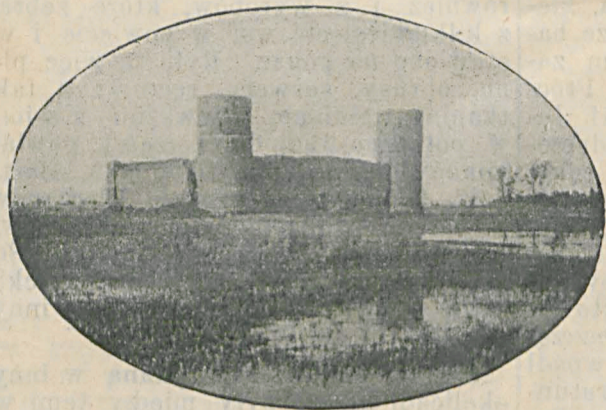
Po wielu wsiach w powiecie ciechanowskim, podobnie jak w innych okolicach kraju naszego, ludność małorolna zajmuje się nie tylko uprawą roli i hodowlą żywny, ale także potrosze wyrobem różnych rzeczy bądź na własny jeń użytek, bądź też na sprzedaż. Z różnych rzemieślników najbardziej tam rozpowszechnione jest po wsiach tkactwo, a zwłaszcza wyrób płótna. Można było o tępym przekonać się na wystawie i z wiadomości pracowicie zgromadzonych i odpowiednio na tablicach pokazanych przez hrabinę Krasieńską z Opinogóry, jak

również i z wyrobów, które zebrano z kilkudziesięciu wsi w powiecie i wystawiono na pokaz. Było tu więc płótno, obrusy, serwety, ręczniki, a także tkaniny wełniane, przeważnie z wiosiek w północno-wschodniej części powiatu, mianowicie z okolic Gruduska, Bartołów, Opinogóry i samego Ciechanowa. Z południowo-wschodniej części powiatu, mianowicie z okolic Gołymina i Sońska zebrano mniej wyrobów tkackich, a za to więcej okazów różnych innych rzemieślników.

Osobliwością, niespotykaną w innych okolicach kraju, były między temi wyrobami wiejskimi guziki z tak zwanym maszynowym i nicianym, wyrabiane na sprzedaż w dość dużych ilościach w okolicy miasteczka Sączocina, które leży nad rzeką Wkrą w powiecie płońskim, tuż nad granicą powiatu ciechanowskiego. Na wystawie były guziki z jednej wioski w tamtej okolicy, a mianowicie z Luberadyka nad rzeką Łydynią; za wyrób ich dostali nagrody dwunastoletni Janek Cieślakiewicz oraz Bąkowski z tejże wsi.

Najwięcej nagród, bo też i najwięcej różnych okazów było tu w dziale tkactwa. Dwie gospodynie: Rozalja Panuszowa i Marjanna Białczykowa, otrzymały za tkaniny wełniane i lniane nawet listy pochwalne, co jest dużą nagrodą. Najbardziej po nich wyróżniono gospodynię Katarzynę Gnaszową z Czernic, której wyrob było na wystawie płótno gładkie i deseniowe, oraz wełniaki. Również dobrze zrobione było płótno gładkie Józefy Perzanowskiej z Lekowca, Jana Sitka i Mikołaja Kuczyńskiego z Kątów, płótno deseniowe Rozalji Długoleckiej z Grabowa-Gęsiego, oraz tkaniny wełniane Mosakowskiego Władysława z Niesiebudów i Czarnieckiego Stanisława z Czernic. Wszyscy oni zostali nagrodzeni użytecznymi podarkami, które dostali też jeszcze: Działyński z Luberadyka za wyrób rękawic, Długolecki Julian z Bartołów za zabawki, Siedlecki Piotr z Pajewa za wyrób uli i przyborów pszczelarskich, oraz Chabiewicz Ignacy z Obiedzina za krzyż starannie zrobiony. Bardzo ładne wyroby koszykarskie przedstawiły panie Marja Szczenińska z Ciechanowa i Celina Goszczyńska z Łęk, którym też przyznano listy pochwalne nie tylko za okazaną robotę, ale także za starania około rozpowszechnienia w Ciechanowskim wyrobu koszyków; za podobną działalność w zakresie wogóle rzemieślników wiejskich przyznano także nagrodę kierownicze ochrony w Opinogórze, p. Z. Mareckiej.

Za mało zwrócono uwagi przy urządzeniu wystawy na wyroby rzemieślników zawodowych. Wprawdzie była to wystawa rolnicza, ale widzieliśmy przecież na niej okazy i różnych innych gałęzi pracy ludzkiej, nawet wyroby fabryczne; więc nie wadziłoby, owszem z niemałym byłoby pożytkiem, gdyby i rzemieślnicy zawodowi mieli na wystawie swój kąt osobny, i gdyby postarano się, aby i oni większy w wystawie wzięli udział. Każdy gospodarz potrzebuje obuwia, odzieży, wozu, uprzęży, zamka, podkowy, stołu, szafy i t. d., więc warto wiedzieć, gdzie w powiecie szukać dobrego rzemieślnika; z drugiej strony i sami rzemieślnicy mogliby na wystawie coś skorzystać, czegoś od innych się nauczyć. Niestety, działu tego na wystawie próżnobyś szukał. Z rzemieślników zawodowych wystąpiło tylko trzech kowali: Karol Lubiński z Re-



Mury zamkowe w Ciechanowie. Są to resztki dawnego zamku, w którym, 300 zgorą lat temu, mieszkała po owdowieniu królowa polska Bona. Pozostałe mury wraz z wieżami mają 80 kroków wzdłuż i w szer. Na przedzie widać rzekę Łydynię, na której dawnymi czasy stał tutaj most łączący zamek z miastem; dziś po tym moście nawet śladu niema.

bowa pokazywał podkowy i sztabę żelazną z kłódką, Feliks Nałęcz z Chrostowa — sztuczny zamek na cztery klucze zamykany, i Roman Jabłoński z Ciechanowa — dwie podkowy.

Z większych zakładów rzemieślniczych znajdujących się w powiecie wystąpiły tylko trzy z samego Ciechanowa: Teodor Wiciński wystawił bardzo ładną bryczkę jesionową, Bzęczek i Król pokazywali młocarnie i ruchadła swojej roboty, Lenc — również maszyny rolnicze; wszyscy oni otrzymali listy pochwalne. Tak samo nagrodzony został gospodarz Królicki z Gruduska za wóz do przewożenia młocarni.

Przeróżnych maszyn i narzędzi rolniczych było na wystawie bardzo wiele. Wystawiło je nie tylko Stowarzyszenie rolnicze ciechanowskie, które dla dogodności swych członków ma w Ciechanowie skład narzędzi rolniczych z różnych fabryk, ale również i kilka fabryk i wielkich składów z Warszawy. Najokazalej wystąpili tu, jak zwykle, Grodzki, oraz Kowalski i Trylski, a także fabryka pługów Zawadzkiego. Bardzo ciekawy i pouczający był zbiór szesnastu siewników rzędowych zgromadzonych razem w jednym kącie wystawy. Były między nimi siewniki i największe — 33-rzędowe, i średnie, i najmniejsze — pięciórzędowe, zdadne do małych gospodarstw. Budowę tych siewników i różnicę między nimi objaśniał gromadkom ciekawych p. Biedrzycki, uczony znawca maszyn i narzędzi rolniczych. Również ciekawe było dla gospodarzy pokazywanie w działaniu parnika do ziemniaków, oraz wirówek do mleka wystawionych przez skład Nobla w Warszawie; tu gromadziło się ciągle sporo ludzi i przyglądało się z zajęciem, jak się te wirówki rozbierają i czyszczą, jak się składają, i jak śmietanka oddziela się w nich sama od mleka. Ciekawie też oglądano całe urządzenie oświetlenia elektrycznego na wystawie. W wielkiej szopie stała tam maszyna parowa, która obracała bardzo szybko niedużą maszynkę do wytwarzania elektryczności. Z maszynki tej siła elektryczna szła po drutach do lamp rozwieszonych na wysokich słupach po wystawie, i tym sposobem oświetlała ją wieczorami. Jedna para drutów szła też do ruchadła elektrycznego; stało ono daleko od tej szopy, a jednak obracało się mocno, popychane doprowadzaną do niego po drutach siłą elektryczną. Do przyrządów elektrycznych należały też telefony, czyli przyrządy do rozmawiania na odległość; pokazywał je na wystawie za-

kład utrzymujący telefony miejskie i podmiejskie w Płocku.

Prawie pośrodku placu wystawowego zbudowano porządną chałupę drewnianą na wzór gospodarzom wiejskim. Chałupa składała się z obszernej przyżby pod dachem, z długiej sieni zakończonej komorą, z dwóch izb na lewo, oraz z piwnicy i poddasza, na które schody miały być w sionce, ale nie zostały zrobione, żeby więcej zostawić miejsca dla zwiedzających i na różne ciekawe rzeczy, które porozwieszano i poustawiano w chałupie. Widzieliśmy tam w pierwszej izbie kuchnię angielską, połączoną z piecem do chleba i piecem do ogrzewania izby wystawionym przez zduna Śmiecińskiego; piec ten składał się z odpowiednio zagiętego kanału obmurowanego nie cegłą i kamieniami, ale otwartymi rurkami glinianymi; podobno piec taki grzeje dobrze, ale chyba nie jest lepszy od kaflowych, które nie tylko dobrze grzeją, ale i długo trzymają w sobie ciepło. Na kominie poustawiane były różne naczynia na wzór dla gospodyń. W tejże izbie pokazano za szkłem w małym rozmiarze wzorowe urządzenie całej kuchni dworskiej. Tuż obok pod oknem stał stół, a na nim kilka misek blaszanych z łyżkami i napis: „niezdrowo jeść ze wspólnej miski“; a niezdrowo dlatego, że gdy kilkoro ludzi je z jednej miski, to łatwo przez jadło mogą przenosić się z jednego na drugie różne choroby. Tak samo należy dbać o ile możność o to, żeby każdy miał swoją pościel do spania, a zwłaszcza, żeby dzieci spały każde osobno; o tym także umieszczono napis w chałupie wzorowej, a obok powieszono jeszcze ręcznik z napisem: „myj się dobrze, bo czystość to zdrowie“.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

T. P.

W niewoli u Tatarów.

(Według powieści napisanej przez Deotymę.)

(Ciąg dalszy.)

W pierwszej chwili, gdy włózek padł matce do nóg, tłum przerażony widokiem dwu niewiast trędowatych cofnął się, i tylko zdaleka przyglądano się radośnemu przywitaniu. Ale wkrótce ten i ów zaczął się przysuwać, aby dosłyszeć coś z rozmowy matki z synem. I dosłyszeli, że niewiasty wracają z niewoli tatarskiej. Wtedy wszyscy, nie bacząc już na trąd, rzucili się ku nim.

— Ale wyście chyba cudem jakim wróciły, — wołano ze wszystkich stron, — boć z tamąd nikt nie wraca!

Elżbieta podniosła ręce pokryte trądem i rzekła:

— Oto cud, co nas tu przyprowadził. Dla trędowatych wszystkie drogi wolne. Żaden człowiek nie byłby wynalazł sposobu, a Pan Bóg wynalazł.

I znowu zwracając się do Jasia opowiadała mu w krótkich słowach o dobroci i wszystkich poświęceniach Ludmiły. Ta na razie nie mogła nic mówić, bo z wielkiego szczęścia zanosila się od płaczu. Nie było też dokoła tak

zimnego człowieka, żeby mu się łzy do oczu nie cisnęły. Jaś, słuchając, to matce, to Ludmile do kolan przypadał.

Naraz Elżbieta chwyciła się za głowę. — O ja nieszczęśliwa! — zawołała odtrącając syna. — Co ja też robię!... Zapomniałam!... Ja nie chcę cię całować!... Nie chcę cię dotykać!...

— Ale ja chcę! — wykrzyknął włózek. — Jakto? Miałbym ja tyle lat czekać na was, matusio, aby się wam teraz zdaleka przypatrywać!

I tulił ją do piersi, i całował jej chore ręce i wypłakane oczy, a ludziom dokoła serca były ze wzruszenia.

Nagle stary Matjasz przetarł oczy i zawołał:

— A patrzajta-no, ludzie, co my prześlepiłi. A dyć to te same niewiasty, co z wózka krzyczały, jako Tatarzy idą!

— Prawda! prawda! Gdzieśmy mieli oczy? A wszak-ci to nasze wybawicielki!

W uniesieniu wdzięczności zapomniano o niebezpieczeństwie zarażenia się trądem. Wszystkich ogarnął znowu zawrót szczęścia. Huknęła muzyka, podniosły się chorągwie, Jasia wsadzono znowu na konia, dla niewiast sprowadzono jakiś wózek, pokryto go kobiercami, ozdobiono kwiatami i zielenią, zamiast koni ludzie zaprzęgli się do dyszla, i ruszono z okrzykami radości obwożąc po całym mieście oswobodziciela i jego matuchnę i ciotunię. I w całym mieście od końca do końca brzmiały radośne okrzyki:

— Niech żyje nasz wybawca, nasz złoty Jaśko! Niech żyją niewiasty, co nas wyratowały!

Zkoleji zbliżył się pochód do klasztoru Norbertanek, do którego, kilka godzin temu, dobierali się Tatarzy. Cały plac przed klasztorem był skopany, zasypany odłamkami broni, miejscami krwią pozalewany. Mur klasztorny był w kilku miejscach nadrabany, furta wylamana. Wszystko pokazywało, jak blizka już była zguba świętobliwych zakonnic.

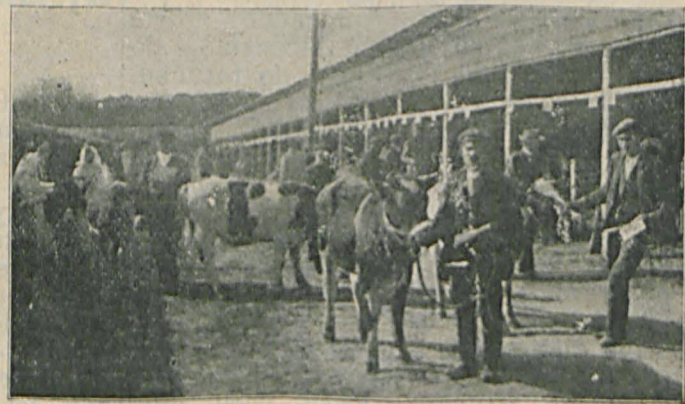
To też wszystkie teraz przyszły do drzwi klasztornych, aby podziękować temu, który od zguby je uratował. Sędziwa przełożona powitała Jasia serdeczną przemową, a mniszki stojące za nią w kurytarzu zaśpiewały mało znaną jeszcze w owe czasy pieśń dziękczynną „Ciebie Boga chwalimy“.

Jaś zsiadłszy z konia kłaniał się przełożonej czapką do kolan, a rękawem łzy ocierał.

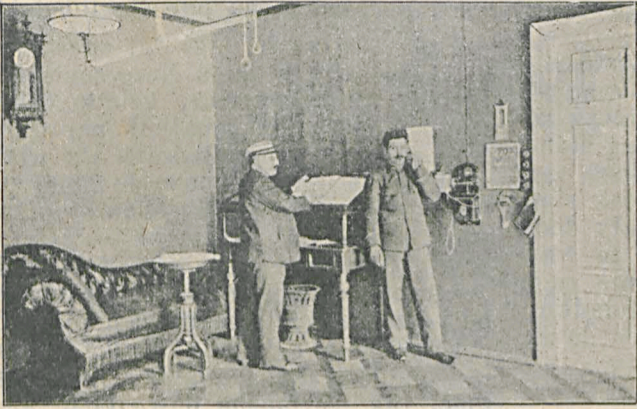
Gdy śpiew ucichł, przełożona rzekła:

— Wejdźcie, jeśli łaska pod ten dach, co bez waszej mocy stałby już w płomieniach, i siadźcie do tego stołu, przy którym bez waszej mocy jużby ucztowali poganie.

Zaprosiny te przyjęto z wielką ucie-



Krowy na wystawie w Ciechanowie.



Z „pogotowia ratunkowego” w Warszawie (przeczytaj o nié m w wieści „Dziesięciolecie” na str. 3 dzisiejszej Gazety). Na obrazku tutaj widać, jak służący odbiera przez telefon wiadomość o jakimś wypadku gdzieś na mieście. Doktor zapisuje wszystko do księgi. Za chwilę wsiądzie wraz z pomocnikami do powozu, który już stoi gotów na podwóz, i popędzi wewnatr ratować bliźniego w nieszczęściu. t.

chą, bo już słońce zachodziło, a nikt jeszcze pono w mieście owego dnia nie jadł obiadu.

Elżbieta i Ludmiła wypraszały się pokornie od spólnej ze wszystkimi wieczery. Prosiły, aby im dano poczęstunek gdzieś w kąciuku.

Przełożona obejrzała się i wnet znalazła taki kąciuk. Kazała postawić ławkę i stolik we wnęce okalającej drzwi kościelne i przemocą prawie usadowiła tam niewiasty. Jan ujrzawszy je wbiegł na schodki i usiadł między matką a Ludmiłą. Mieszczanie nie chcieli też odstąpić wozu, i tak prawie wszyscy zasiedli do wieczery dokoła klasztoru pod gołym niebem.

Zakonnice rozdawały wszystkie zapasy, jakie tylko mogły wynaleźć w spiżarniach i piwnicach; wyjęły też co do grosza wszystko, co miały w skarbczyku zakonnym, i rozesały ludzi, aby za te pieniądze nakupili piwa, miodu i mięsa. Do stolika we wnęce, gdzie siedział wódz z niewiastami, same znosiły najlepsze przysmaki i napoje.

Przełożona pokrótce wypytała się o dzieje niewiast ocierała łzy i wołała na mniszki:

— Chodźcie-no tu, siostry, patrzajcie i uczcie się pokory. Niektóra z nas myślała sobie w sercu, jakoby nasze posty i biczowania były wielką męką, a czém to my wszystkie naprzeciw onych niewiast, co pościły czterdzieści lat w pustyni, co znosiły pogańskie bice?

I mniszki patrzyły na niewiasty z podziwem i uwielbieniem jak na męczennice.

A Elżbieta wpatrywała się w syna zapominając o całym świecie. Odnajdywała w jego twarzy podobieństwo do drobnej twarzyczki swego Jasia. Ale co dziwniejsza, że i tatarskiemu ubraniu syna przyglądała się tak uporczywie, tak jakoś chciwie, że aż Jan zapytał:

— Co to, matusio? Czy was tak dziwią te wspaniałości pogańskie?

— Nie... to nie to...— odrzekła Elżbieta i chwytając Ludmiłę za rękę szepnęła: — Patrz... to zupełnie jakby moja robota. Może mnie się tak w oczach miesza, ale to jakby jedna z tych sukien, co je szyłam dla Kałgi. Pokaż rękaw... rękaw...— mówiła szybko do dziwnego Jana.— Jest!.. Patrz, Jasiu, oto tu wyhaftowane są słowa: „Święty Boże, broń Krakowa”. Daj drugi rękaw... O, i tu jest moje wyszycie, tu znowu o tobie: „Ma-

ryja i Anieli, strzeżcie Jasia”. To moja robota! Jam na każdej sukni wypisywała niemi jakąś modlitwę, i Pan Bóg mię wysłuchał, — i jak jeszcze! Oto Kraków obronion! I przez kogo? Przez mojego Jasia! Ach, czyż ja mogłam się spodziewać tam, w jurcie dymnej, na mrozie, o głodzie, gdy m robiła te ścięgi łzami polewane, że szyję suknię dla mojego syna!

Jan patrzył z uśmiechem, ale i ze zdumieniem. Nie mógł jeszcze dobrze zrozumieć, o czém to jego matka mówi.

— Więc te suknie zdarliście z przywódcy Tatarów... Ale jak się on nazywał? — dopytywała się Elżbieta.

— Tego, matusio, nie wiem.

— Jak się nazywał przywódca Tatarów? — pytały niewiasty dokoła.

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć. Naraz Ludmiła zawołała:

— Już wiem! Trzeba zapytać jeńców. Zaczęto szukać Tatarów wziętych do niewoli. Gdzież są? Nigdzie ich nie widać. Wtém kilku młodych mieszczan zaczęło się śmiać.

— Gdzie oni? Aha, anibyście zgaśli! — mówią. — Tam, gdzie dla nich sprawiedliwe miejsce: w piekle.

— Jakto? Czyście ich zabili?!

— Ale zkad znowu! Niełatwo było pilnować ich w natłoku, więcśmy ich zawlekli do szopy na rynku, do tej przegródki z płomykami, co to ma być „Piekiło”. Teraz cały rynek cieszy się oném widowiskiem. Ha-ha-ha!

Posłano po jeńców. Tatarzy myśleli, że już przyszła ich ostatnia godzina. Z głowami hardo podniesionemi i z zacisniętymi zębami czekali wyroku. Ale zamiast katów, Elżbieta i Ludmiła zbiegły ze stopni kościoła i przemówiły do nich... po tatarsku! Jeńcy spójrzeli na nie zdumieni i wzruszeni.

— Jak się wasz wódz nazywał? Na Boga zaklinamy was, powiedźcie tylko imię tego dowódcy!

Tatarzy odrzekli:

— Kałga.

— Syn Toktysza i Arguny?

— Tak, właśnie, syn Toktysza i Arguny. Zkad wy to wiecie? Zkad umiecie mówić po tatarsku? — pytali jeńcy zdumieni.

Ale niewiasty jeszcze chciały wiedzieć, jakim sposobem Kałga znalazł się w Krakowie. Jeden ze starszych Tatarów objaśnił, że Kałga od wielu lat marzył o zdobyciu Krakowa, o którym mu nianka jego dziwy opowiadała i gdzie dziad jego niegdyś zginął straszną śmiercią. W tym celu przesiedlił się do Europy i wszedł w służbę innego chana, który panował w pobliżu morza Czarnego. Od tego chana właśnie ksiązę Halicza zażądał pomocy przeciw księciu Leszkowi. Kałga z radością przyłączył się do oddziałów idących do Polski, i tu na własną rękę, nawet bez wiedzy księ-

cia Halickiego, zniecka napadł na Kraków.

— Ale od wczoraj już wiedział, że mu się nie uda, — mówił opowiadający. — Wczoraj wieczorem gromada chłopów napadła na nas i porwała nam kilka wozów. Na jednym z tych wozów był skarb Kałgi, — skrzynia z sukniami, od których zależało jego życie. Suknie te szyla jego nianka. Była to wielka czarownica, więc i suknie były zczarowane. Szamanie nasi powiedzieli, że kiedy Kałga wdzieje ostatnią z tych sukien, wszystko się dla niego skończy. Otóż gdyśmy się dowiedzieli, że chłopci wóz porwali, pogoniliśmy za nimi, wpadliśmy do wsi i, jak zwykle, zapalono zaraz chałupy. Chłopów pozabijaliśmy, ale nim zdołaliśmy dopaść do zabranych wozów, już ogień je ogarnął—i suknie się spaliły. Wódz w strasnym gniewie własną ręką pozabijał tych, co wozu nie dopilnowali, i tych, co zawczasie ogień podłożyli. Ale cóż? Wiedział, że suknia, którą ma na sobie, jest ostatnia...

Niewiasty stały jak skamieniałe z podziwu. Długo nie mogły przemówić, rozmyślając o cudownych zrzędzeniach Bożych. Ale kiedy wkońcu Elżbieta powiedziała, że właśnie ona jest ową nianką — niby czarownicą, co szyla suknie Kałgi, wtedy z koleji Tatarzy pobledli z podziwu i odstąpili od niej ze złości i obawą.

A jakież było zdumienie i radość Jana, gdy niewiasty powtórzyły mu opowiadanie Tatarów! Podniósł ręce do nieba i zawołał:

— Boże mój ukochany! Tyś mię więcej wysłuchał, niżli śmiać prosić!

(Co było dalej, — podamy za tydzień.)

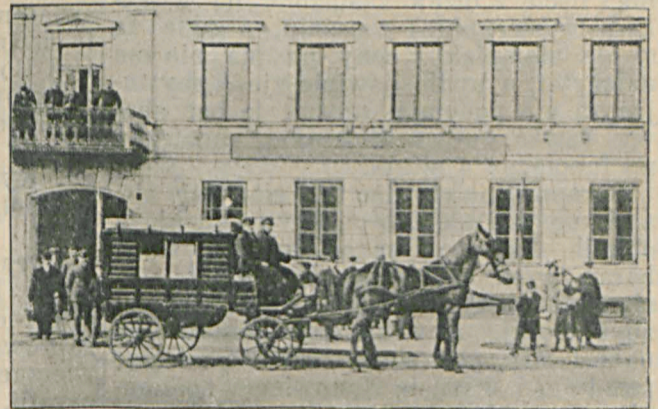
st. w.

GOSPODARSTWO.

Hodowla owiec.

Proszę o radę: czy warto w gospodarstwie włościańskim hodować owce, a jeżeli warto, to w jaki sposób z niemi się obchodzić i jak je żywić, aby mieć z nich korzyść jak największą? *Czytelnik.*

Hodowla owiec w gospodarstwie włościańskim, jeżeli będzie starannie prowadzona, da korzyści pewne. Ale należy hodować nie owce cienko-welne, bo są one zwykle delikatne i potrzebują lepszej paszy, tylko owce gospodar-



Powóz pogotowia ratunkowego w Warszawie. Tylne, i obie boczne ściany tego powozu są otwierane, żeby można było chorego łatwo wnieść do środka i ułożyć na uzależonym tam łóżku. Pod koźłem jest skrzynia, w której są zawsze na podorędziu różne przybory lekarskie i lekarstwa. Powozem jeździe się bardzo gładko, bez wielkich wstężeń, bo ma doskonałe resory i obręcze gumowe na kołach. Pogotowie warszawskie ma sześć takich powozów i sześć par koni. t.

skie, które dają wprawdzie grubą wełnę, ale za to wytrzymują niewygody i pod baczny okiem gospodarza wywdęcają się dostatecznie za paszę i starania około siebie.

Wełna z owiec polskich nadaje się znakomicie na wyroby domowe; z wełny naszych prostych owiec tkają wyborne samodziały na świty, płaszcze. Ubranie uszyte z sukna swojej roboty przetrwa 10 ubrań z sukna fabrycznego, tém pewniej, że dziś niektóre fabryki przerabiają na wełnę stare szmaty zbierane na śmietnikach. Szmatki te maszyna rozczesuje na wełnę, z wełny przedzie nici i tze sukno, którego w sztuce nie rozpoznasz, że jest ze starej wełny wyrobione; ale w noszeniu rozłazi się ono tak, że szkoda było krawcowi roboty do takiego towaru dokładać.

Owce więc dadzą wełnę, którą wieczorami w zimie można uprząć, i tkacze wyrobią z farbowanej wełny samodział jak się patrzy. Sprzedawać wełny przepukniom niewarto; lepiej już kto nie potrzebuje sukna, ani wełniaków dla kobiet, albo der na konie, niechaj każe domownikom wełnę pięknie uprząć, a za taką tkacze zapłać lepiej, niż za runo. Łatwo także nauczyć się wyrobić z nitki wełnianej rękawice, czapki, pończochy, kaftany, a nawet ciepłe gacie.

We wsi Tyńcu nad Wisłą, koło Krakowa, wszyscy mieszkańcy w czasie wolnym od robót gospodarskich trudnią się tym przemysłem domowym. Wyroby ich sprzedają po miastach, i zamożność mieszkańców wzmagą się z każdym rokiem. Wszyscy pracują do spółki, wełnę zarząd zakupuje na jarmarkach od włościan, i udziela jej członkom spółki do wyrobu, ci zaś oddają robotę co tydzień, biorą zapłatę za robotę tymczasowo, a po sprzedaży towaru dzielą się zyskiem. I cicho, składowanie im ta praca, bo sami zgodnie wszystko ułatwiają bez pośredników, bez faktorów.

Owce żywią się przeważnie słomą i sianem, ale kto im da przytęm i ziemniaków, będzie miał znacznie więcej wełny. Wiele takiego dodatku one nie potrzebują, ale kto już raz zaczął pasć ziemniakami, powinien paszę taką dawać regularnie do wiosny.

Inaczey się pasie zimą owce chowne, — barany, matki, roczniaki i jagnięta, a inaczey opasy.

Wszystkie owce chowne powinny jeść paszę zdrową, ale taką, co to w gospodarstwie nic nie kosztuje, to jest słomę, siano, łubin, gałazki drzew obcinane zimą, liście z drzew zasuszone na gałazkach w sierpniu i wczesniu, a gdzie są swoje ziemniaki i ceny na nie nie ma należytej, a bydło i świny zjeść zbywających nie podolają, można je bez obawy dawać owcom chownym, chociażby po funcie na 4 sztuki.

Baranowi należy dać tyle siana, ile zje, a słomę w małej ilości, aby tylko kłosa objadł. Paszą tą zadowolnić się musi baran przez całą zimę, bo niepotrzeba, aby był tłusty, ale silny, wesoły, a niezbyt ciężki. Aby na czas stanowienia nabrał siły, potrzeba mu dawać miesiąc przedtęm i w czasie stanowienia codziennie po rannem napojeniu kwaterkę owsa czystego. Taka pasza doda mu siły, a baran się nie zapasie.

Matkom wystarczy ranó słoma, potem czysta woda, po wodzie zakładka siana lub konicyny, po południu łubin w słomie, jeśli jest, albo strączyny od wymłóconego na ziarno łubinu, a wieczorem grochownicy, które owca będzie prze-

bierała do późnego wieczora. Jak tu wskazano, dostaną owce paszę cztery razy na dobę, a raz wodę.

Gdzie siana tak skąpo, że gospodarz obawia się, iż go na wiosnę zabraknąć może dla bydła roboczego, tam należy siano strząsnąć na połowę z dobrą słomą; ale choćby brać do trzaski większą część słomy, to zawsze choć cokolwiek siana codzień owcom dać trzeba. Mały dodatk siana do paszy sprawia, że owce lepiej trawia słomę, bo w sianie są ukryte takie części, które w żołądku i kiskach tworzą soki pomagające do trawienia drzewiastych części słomy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

A. Śniegocki.

Listy do Gazety Świątecznej.

Z nad Pilicy.

Do braci z nad Niemna.

Kochani bracia Polacy z parafji Lubowa i z tych wszystkich parafji w Suwalszczyźnie, gdzie podobnie jak w Lubowie się dzieje! Ręka moja spracowana u pług i cepów ciężka jest do pióra, ale sumienie moje nie może się pogodzić z walką bratobójczą w Kościele Chrystusowym. Oburzam się na to i pytam, bracia: A gdzie się podziła między wami miłość uczniów Chrystusa Pana, żeście wobec Niego samego, utajonego w Przenajświętszej Hostji śmieli wieść spór w śpiewie, kłótnie i waśnie wszczynać? Gdzie niema zgody, tam niema chwały Bożej; tam jest złość, zawziętość, czém Pan Jezus się brzydzi. Czy taka powinna być miłość w sercu dobrego chrześcijanina i dobrego Polaka? W chwilach tak ciężkich dla nas niech wszelka niezgoda przez od narodu naszego idzie, a niech zgoda panuje, bo zgoda buduje, a niezgoda rujnuje.

Boleśnie jest slyszec, że sąsiedzi, długoletni towarzysze doli i niedoli, chcą niszczyć to, co nam najdroższe, rujnują to, czego ani myśmy nie zbudowali, ani oni, a tylko dziadowie i ojcowie pozostawili nam jako pamiątkę, jako odwieczną puściznę. Boleśnie jest — mówię, — slyszec o takiej krzywdzie, ale czy mamy kamieniem za kamień się odplacać? O nie! nam powiedziano: kiedy w was kto kamieniem, to wy w niego chlebem.

Udajcie się, bracia, z prośbą do biskupów naszych, a oni, pewny jestem, ujmą się za językiem i śpiewem polskim. Nie roztrzaskajcie waśni waszych przed światem, aby inowiercy nie wysmiewali się z nas i z Kościoła katolickiego. Daj Boże, aby zgoda w kraju naszym zapanowała, aby nieprzyjaciele Kościoła katolickiego, którzy sięją nienawiść między nami, nie znajdowali w nas serc gotowych do przyjęcia tego siewu, a Kościół, wiara i prawda aby zwyciężyły!

Zwracam się z prośbą do Was, czcigodni Księża! Weźmijcie tę sprawę w swe ręce, aby owieczki Wam powierzone zaprowadzić w zgodzie na pastwisko wiecznego żywota, aby sąsiedzi z jednej parafji, modląc się u stopni jednego ołtarza nie swarzyli się o to, jakim językiem każdy z nich ma Boga chwalić. Niech każdy chwali po swojemu, a mimo to niech między wszystkimi będzie spójnia i miłość nierozzerwalna.

Chłop z Mazurów.

Z parafji Borowa pod Annopollem na powiśle lubelskiem.

Trudno wyrazić, jaki żal ogarnął serca nasze, gdy w dzień Narodzenia Matki Boskiej proboszcz nasz, ksiądz Abramowicz, po kazaniu oznajmił parafjanom, że z rozporządzenia Biskupa i z własnej woli będzie przeniesiony do innej parafji, gdzieś w pobliżu Lublina. — Z żalem was opuszczam, — mówił, — jako dobrych parafjan. Ale cóż robić! Taki los kapłana. Nie macie co się martwić, bo będziecie mieli na moje miejsce młodego, zacnego księdza. — Ludzie w kościele zaczęli strasznie płakać, jęczeć, szlochać, tak, że można powiedzieć, aż się kościół trząsł. Po nabożeństwie wszyscy proboszcza proszą, błagają z wielkim płaczem, aby nie odjeżdżał. Ale daremne próśby, — ksiądz powiada, że to się już nie odstanie. Płaczą ludzie, żalują go, bo był prawdziwym dobroczyńcą dla parafji. Krótko tu pozostawał, bo niespełna półsiódma roku, ale bardzo wiele dobrego zrobił. Po śmierci poprzedniego proboszcza, ś. p. księdza Flisza, parafja była osierocona przez cztery miesiące. Musieliśmy się tulać po innych parafjach. Ksiądz Abramowicz zastał wielką pustkę. Na razie zasmucił się widząc kościół w nędzy i spustoszeniu wokoło. Ale pocieszając się mówi: — Pomoc Boska jest dla każdego, a my, bracia, mamy ręce do pracy. — Zaczęli parafjanie składać pieniądze i proboszcz zwolna uporządkował kościół, sprawił nową monstrancję, kupił nowe ornaty, albo stare odnowił, sprawił nowe dwie kapy i piękny baldachim; postawił budynki dla organisty i na probostwie; dokupił nam dwa morgi cmentarza i ogrodził pięknym płotem, i stary cmentarz też uporządkował i ogrodził. Prawda, że myśmy na to dawali pieniądze, ale proboszcz przez swą umiejętność i staranność sprawił, że to, na co kto inny wydałby 100 rubli, nas kosztowało tylko 50. Ale zobaczmy, co proboszcz sprawił w naszych domach i wioskach, i co dał naszym dzieciom. Dawniej przyjeżdżano u nas do ślubu o godzinie 5, 6, lub 7 po południu, i najczęściej już nie na trzeźwo. Teraz musi każdy stanąć przed godziną dziesiątą rano. Święty to zwyczaj! Każdy przyjdzie trzeźwy, jak powinien, na mszę świętą, a później się wesela. Przy pogrzebach bywały poczestunki, pijatyka; teraz — odprowadzili nieboszczyka na cmentarz, pochowali, i każdy wraca prosto do swego domu nie oglądając się na wódkę, ani na piwo, bo każdy, kto ma czas, uważa sobie za obowiązek chrześcijański oddać bliźniemu tę ostatnią posługę i niewolno nam pijatyk wyprawiać przy obzędach pogrzebowych. Do chrztu też przyjeżdżają tylko w godzinach przedpołudniowych. Nadto proboszcz założył nam koło Macierzy szkolnej, a w czterech wioskach czytelnie. Mamy gazety, które dawniej u nas mało kto czytywał. Dzieci, które przystępowały pierwszy raz do komuńji świętej, zobowiązały się do tego, że niewolno im pić wódki, ani palić papierosów do 21 roku życia, i to spełniają. To się każdemu podoba. Nakoniec sprowadził nam proboszcz z Warszawy kapelmistrza, zucha, bo w cztery miesiące już mu kapela gra nieźle. Cóż dziwnego, że martwimy się, iż nas ten kapłan opuszcza?

Parafjanin A. Sz.

Więści telegraficzne.

Z Odesy. D. 7 paźdz. We wtorek 1-go października wyszedł wieczorem z Odesy do Kijowa, jak codzień, pociąg pośpieszny wiozący pocztę i ze dwustu podróżnych. Zaledwo ujechano dwie mile, aż tu maszynista spostrzeżę na drodze jakiegoś człowieka machającego latarką czerwoną, co jest znakiem, że należy pociąg natychmiast zatrzymać, bo albo droga jest dalej popsuta, czy zamknięta, albo inny pociąg pędzi naprzeciwko po tych samych kolejinach, lub t. p. To też i maszynista pociągu idącego z Odesy, nie przeczuwając nic złego, zahamował pośpiesznie maszynę i pociąg stanął w pustym polu jak wryty. W téjże chwili z ciemności nocnych wypadła gromadka ludzi uzbrojonych. Trzech wskoczyło na parowóz i wzięli pod straż maszynistę, a inni weszli do wozów i nakazali przerażonym podróżnym siedzieć spokojnie i nie wyglądać oknami. W jednym z wozów jechał podoficer żandarmski; widząc, co się dzieje, zaczął strzelać do napastników, ale wówczas ci otoczyli go i zabili strzałami z rewolwerów. Zranili jeszcze tak samo jednego z podróżnych, który także zaczął strzelać raz po raz. Gdy tak jedni z napastników pilnowali maszynisty, a drudzy podróżnych, reszta rzuciła się na wóz z rzeczami i pocztą. Nie mogąc go otworzyć, napastnicy podłożyli dwa mocne naboje dynamitowe i rozsadzili go wybuchem. Zaraz po wybuchu wóz zaczął się palić i zgorzały wszystkie rzeczy, które się w nim znajdowały. Ocalała tylko kasa żelazna, ale więzione w niej pieniądze i różne papiery rządowe stlały od gorąca na popiół. Prócz tego wieziono osobno w worku kilka tysięcy rubli, które przepadły. Napastnicy spodziewali się większego połowu, bo właśnie tym pociągiem miało być wysłanych z Odesy 200 tysięcy rubli rządowych, ale zatrzymano je w ostatniej chwili. Napastnicy nie znalazłszy tych pieniędzy wpadli w złość, obłeli naftą kilka pustych wozów i spalili je do szczeru. Po napadzie odczepili od pociągu parowóz, wsiedli nań i kazali maszyniście jechać. Ujechawszy ze trzy wiorsty zatrzymali parowóz, wysiedli i pomknęli w step, który ciągnie się tu szeroko i daleko. Maszynista dojechał do najbliższego przystanku i dał znać o napadzie przez telefon do Odesy. W kilka godzin dopiero przysłano na miejsce wypadku pociąg; uprzątnięto resztki spalonych wozów, i pozostałe wozy wraz z podróżnymi zabrano do Odesy. Mówią, że napad ten był dokonany przez partję przewrotowców walczących z rządem. (Jeden czytelnik Gazety Świątecznej, donosząc nam z pod Odesy o tym wypadku, pisze, że prócz żandarma zabity został jeszcze jeden z konduktorów, spalili się zaś tylko dwa wozy: z rzeczami i drugi, osobowy.)

— D. 8. W piątek wieczorem policja w Odesie dowiedziała się, że w jednym domu odbywa się tajna narada. Wystano natychmiast strażników z pomocnikiem komisarza Delfińskiego. Zgromadzeni na naradzie ujrzawszy policję, zaczęli do niej strzelać i zabili Delfińskiego. Wywiązała się walka, aż wkońcu policja wdarta się do mieszkania i aresztowała tam 39 osób. Podczas strzelaniny zabito w mieszkaniu jedną kobietę i zraniono dwóch mężczyzn. Na drugi dzień po zabiciu pomocnika komisarza Delfiń-

skiego, jacyś ludzie — jak mówią, członkowie związku tak zwanych „prawdewych Rossjan“ — strzelali na mieście do przechodniów i wybijali szyby w sklepach żydowskich. Ranionych jest wskutek tego 15 ludzi.

Teodozja (miasto powiatowe na półwyspie Krymskim, nad morzem Czarnym), d. 8. Z więzienia w Teodozji uciekło 6 więźniów; zabili oni 4 dozorców i zabrali im broń i mundury. Jednego z tych więźniów potem schwytano.

Z Kijowa. D. 9 paźdz. W mieście Kijowie 10 osób odrazu zachorowało na cholere. Widocznie przedostała się tu ona z Ekaterynosławia, który tak samo jak Kijów leży nad rzeką Dnieprem.

Petersburg, d. 7. Ludzie chorują na cholere we wszystkich już wschodnich gubernjach Rossji i zachodnich Syberji.

— We wtorek 8 października powieszono w Petersburgu sześciu ludzi skazanych tydzień przedtem na śmierć przez sąd wojenny. Pięciu z nich było oskarżonych o zabicie naczelnika jednej z większych fabryk w Petersburgu, jeden zaś o zabicie naczelnika więzienia i kopalni rządowych w Akatju na Syberji, gdzie pracują przeważnie przestępcy polityczni, czyli państwowi, skazani na ciężkie roboty.

Jarosław (miasto gubernjalne nad rzeką Wołgą, na północy od Moskwy), d. 8. W jednej fabryce pod Jarosławiem spalił się dom, w którym mieszkali robotnicy z rodzinami. Z pod gruzów wydobyto po ugaszeniu pożaru 12 trupów, przeważnie kobiet i dzieci.

Z Syberji. **Tobolsk,** d. 8. Z miasta Tiumenia prowadzono w tych dniach do Tobolska gromadę więźniów skazanych na ciężkie roboty. W drodze więźniowie zbuntowali się i rzucili się na straż. Wywiązała się walka, podczas której 22 więźniów zabito, a jedenastu zdołało uciec, porwawszy 7 karabinów. Ze straży zostało ranionych sześciu żołnierzy.

Z Francji. **Paryż,** d. 8. W Paryżu bawi już od tygodnia rossyjski minister od spraw pieniężnych Kokowcew. Był on u głównego ministra francuskiego, Klemansa, i u ministra skarbu, Kajja (Caillaux). Niektóre gazety zagraniczne i rossyjskie piszą z tego powodu, że Kokowcew stara się w Paryżu o nową pożyczkę dla rządu rossyjskiego, ale rząd ogłasza, że to nieprawda.

Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. **Nowy-Jork,** d. 8. W Ameryce coraz więcej mówią o wojnie, na którą jakoby się zanosi pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Japońją. Podobno do wojny téj pcha sam prezydent Stanów, Ruzwelt, choć znaczna część ministrów, a w téj liczbie i amerykański minister wojny, generał Taft, są temu przeciwni. Taft był właśnie w tych dniach w Japońji i tam na uczcie, którą na jego cześć wydano, powiedział wprost, że wojna pomiędzy Japońją a Stanami Zjednoczonymi byłaby zbrodnią wobec całego świata. Ale wielu Amerykanów z Ruzweltem na czele myślą podobno inaczej. Są oni przekonani, że wcześniej czy później pomiędzy Japońją a Stanami musi dojść do wojny z powodu oceanu Spokojnego (między Azją a Ameryką), na którym każde z tych mocarstw samo chciałoby gospodarzyć, mieć przewagę nad innymi. W grudniu rząd amerykański wysłał prawie wszystkie swoje okręty wojenne z oceanu Atlantycznego na ocean Spokojny, gdzie mają odbywać niby tylko ćwiczenia czyli obrotów wojenne, naprawdę zaś, jak piszą niektóre gazety amerykańskie, mają

tam przygotowywać się do wojny z Japońją. Trzeba jednak wiedzieć, że wydanie przez Stany Zjednoczone wojny któremu bądź mocarstwu nie zależy ani od prezydenta Ruzwelta ani od ministrów, ale od głównego sejmu wszystkich krajów należących do związku zwanego Stanami Zjednoczonymi. Chociaż więc Ruzwelt pcha, jak się zdaje, do wojny, niewiadomo, czy naród amerykański zgodzi się na nią.

— W kopalni Wiktorji w krajnie Teksasie w Ameryce obsunęła się ziemia i zasypała pracujących górników. Dotychczas wydobyto 27 trupów i dwudziestu kilku napół żywych. Brak jeszcze 98-miu górników.

Z Japońji. **Tokjo,** d. 8. W mieście Kobe w Japońji zmarła w tych dniach matka terażniejszego cesarza japońskiego Mucuhity, Nakajama. Żyła lat 73. Była to podobno kobieta bardzo mądra i wykształcona.

Z Koreji. Rząd japoński ogłasza, że powstanie na Koreji zostało już stłumione. Zginęło w niém w potyczkach z Japończykami około 800 Korejczyków, ranionych zaś było kilka tysięcy. Japończycy podają swoje straty na 19 tyłko zabitych i 40 ranionych.

Z Maroka. **Tangier,** d. 8. Cesarz marokański Abduł-Azis wystarał się u rządu francuskiego o pożyczkę 10 milionów franków (to znaczy 3 milionów i 700 tysięcy rubli). Jednocześnie wyjechali z Maroka do Europy wysłańcy Mulej-Hafida, brata i półzawodnika Abduł-Azisa, obwołanego niedawno także cesarzem. Wyśłańcy tego drugiego cesarza mają się starać o poparcie u rządu angielskiego, ale nic pewnie nie wskórają, bo król angielski trzyma w téj sprawie z Francją, a Francja woli mieć widocznie do czynienia z dawnym cesarzem Maroka. Jego przeciwnik prędzej chyba coś może uzyskać u Niemców, którzy drą koty z Francuzami.

Z Prus Nadwiślanych. **Gdańsk,** d. 8. W Martjanach na Warmji robotnicy polscy pracowali razem z niemieckimi w kopalni żwiru. W niedzielę wieczorem pokłócili się jedni z drugimi i wszczęli bójkę, aż ich strażnik musiał rozdzielać. Robotnicy polscy poszli potem spać do szopy. Wtém około północy buchnęły gwałtownie z szopy płomienie. Zanim się robotnicy pobudzili i zdołali opamiętać, co się dzieje, już belki trzeszczały mocno nad ich głowami. Część robotników zdołała wybiec na dwór i ocalić się; 6-ciu zaś czy 8-miu udusiło się od dymu i zginęło w ogniu. Pokazało się, że szopę podpalili przez zemstę robotnicy niemieccy, z którymi Polacy pobili się o coś wieczorem. Dzikiem okrutników uwięziono i oddano pod sąd. H.

Z Afryki. Na zachodnim pobrzeżu południowego końca Afryki już od paru lat trwa wojowanie ludu muzyńskiego Hotentotów z Niemcami, którzy przyplawawszy okrętami z Europy do brzegów ich kraju wysadzili tam wojsko z armatami, pobudowali na ich ziemi fortece, ponasypywali swoich urzędników, i gopodają od ludności podatki dla siebie i zmuszając do niemieckiej mowy i niemieckiego obyczaju. Ciężko było żyć Hotentotom pod tém obcym panowaniem, aż doszło do tego, że zniecierpliwieni uciskiem porwali się do broni i rzucili się do walki z potężnym wrogiem, chociaż przy lepszym zastanowieniu mogli łatwo przewidzieć, że do walki o różnej z Niemcami za słabe mają siły.



Jakób Morenga, dzielny wódz Hotentotów w Afryce w ich wojnie z Niemcami.

Na czele powstańców stanął ich rodak Jakób Morenga. Był to sobie zwyczajny wieśniak, nieuczony, ale duszę miał dzielną, a przytém głęboko miłował swój kraj i gorąco pragnął jego dobra. Wojacy jego byli licho uzbrojeni i półnaczy, ale za to przyzwyczajeni do kraju i jego powietrza, i znający niedostępne dla obcego kryjówki, których tżm nie brak. Niemcy, choć mają doskonałą broń i wyćwiczonych żołnierzy, długo nie mogli się z tём powstaniem uporać, a najbardziej dopiekał im Morenga, napadając znienaćka i kryjąc się potém tak, że nie było sposobu go dostać. Niemcy odpierali go tylko pomału coraz dalej. Wkońcu, po wielu potyczkach i uganianiach się, przyparli go do granicy panowania Anglików w kraju Przylądkowym (na południowym końcu Afryki) i zmusili do przejścia przez granicę. Morenga nie stracił jednak jeszcze ducha i zaczął gromadzić wkoło siebie rozproszonych wojaków przygotowując nową wyprawę na Niemców. Ale tu spotkał się z przeszkodą ze strony Anglików. Nie chcąc mieć zatargu z Niemcami sprzeciwili się oni gromadzeniu się wojaków hotentockich pod ich panowaniem i nakazali Morendze, aby oddział swój rozpuścił, albo się z ich kraju wyosił. Morenga nie usłuchał rozkazu. Wtedy Anglicy posłali przeciwko niemu wojsko. Jakiś czas Morenga ukrywał się przed nié, ale wkońcu został wykryty i otoczony z 10-ciu towarzyszymi. Wywiązała się walka, bo Hotentoci nie chcieli się poddać. Zajęli oni niewielki pagórek i strzelali z niego do Anglików nie dając im przystąpić do siebie. Wojsko angielskie odpowiadało również strzałami. Walka taka trwała całe dwie godziny. Wkońcu Anglicy poszli na bagnety i po zaciętym opozie zdobyli pagórek i ujęli pozostałych przy życiu Hotentotów. Kilku ich leżało zabitych; między trupami znalaziono też zwłoki Morengi, jego syna i wuja, podziurawione wprost kulami. Po stronie angielskiej poległ tylko wachmistrz, a kilku żołnierzy zostało raniomych. Czy ze śmiercią Morengi powstanie Hotentotów przeciwko Niemcom się skończy, czy też trwać będzie dalej, dowiemy się zapewne niezadługo. T.

Odpowiedzi.

P. Janowi J. w Z. Dziękujemy za wiadomość i zaproszenie. Nie mogliśmy skosztować z powodu zupełnego braku czasu. Prosimy o zwiększyć opis uroczystości i fotografie, jeśli są dobre. Koszt zwrócimy.

P. Zel J. w P. Na skutek zapytania w Gazecie zgłosili się jeszcze następujący studniarze: 1) Ludwik Kurek w Redenie pod Dąbrową Górnica (ulica Sławkowska, dom Rozalji Słezakowej); 2) Jan Skzypa w Sitańcu (pocza Chomiciska w pow. zamojskim, gub. lubelskiej); 3) Antoni Reut w Surażu (miasto w gub. czernihowskiej).

Ofiary

złożone w redakcji Gazety Świątecznej.

Na kościół w Łosicach:

Stanisław Cymerys z Sadłowizny 6 rubli. Ze wsi Woźnik złożyli na ręce Ludwika Wasika: Jak. Morawiec 50 k., Ant. Wasik 20 k., Ant. Tzciński 10 k., Wojc. Mądry 20 k., Mat. Dumański 10 k., Lud. Dumański 10 k., Jan Błaszczak 7 k., Kacper Jędzejewski 10 k., Tom. Wasik 10 k., Ign. Wasik 15 k., Tom. Wasik 10 k., Ign. Mądry 5 k., Ant. Zieliński 15 k., Ant. Filipek 10 k., Piotr Filipek 10 k., Tom. Dumański 10 k., Wojc. Filipek 6 k., Mid. Adameczk 5 k., Łuk. Michalak 5 k., Fran. Zadumiński 7 k., Mik. Sołtysiak 5 k., Wawz. Wojtkowicz 5 k., Marc. Maksalon 9 k., Jan Gajda 2 k., Mat. Motyliński 5 k., Adam Szewczyk 5 k., Jan Zadumiński 5 k., And. Durka 5 k., Lud. Rokseła 5 k., Jan Wasik 10 k., Stan. Kołaciński 16 k., Mid. Michalak 6 k., Jan Piekarski 10 k., Józ. Filipek 10 k., Fran. Piekarski 9 k., Wojc. Gajda 20 k., Winc. Głowacki 20 k., Mar. Wasik 10 k., Ant. Tzciński 3 k., Marc. Mądry 10 k., Ant. Małeck 15 k., Luc. Budzyński 30 k., Tom. Król 10 k., Lud. Wasik 15 k. — Łącznie z Woźnik 4 r. 85 k. i Antoni Filipek z Makolic 15 k. — Łącznie 5 r. Po potrąceniu 15 k. za przekaz 4 r. 85 k.

Ceny w Warszawie.

Targ na Prażę przy stacji kolei Terespolskiej. 10 października 1907 r.
Cena puda (40 f.) przy kupnie całemi wagonami.
Pezenoa (żądano) od 1 r. 30 k. do 1 r. 42 k.
Żyto (płacono) od 1 r. 5 k. do 1 r. 6 k.
Owies (płacono) od — r. 86 k. do 1 r. 3 k.
Jęczmień na kaszę (żądano) od 90 k. do — r. 95 k.
Jęczmień browarny (płacono) od 1 r. 5 k. do 1 r. 10 k.
Gryka (płacono) od 1 r. 20 k. do 1 r. 22 k.
Kasza jaglana (płacono) od 1 r. 40 k. do 1 r. 50 k.
Kasza gryczana (płacono) od 1 r. 85 k. do 1 r. 90 k.

MŁOCARNIE SZTYFTOWE LANZA

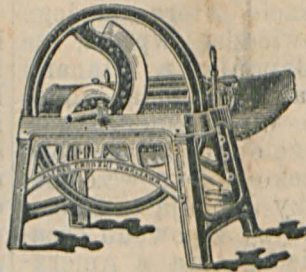
ręczne i z kieratami

odznaczają się szczególnie lekkim i równym ruchem. Omlacają czysto wszelkie ziarno bardzo szybko. Tryby w miejscu ząbieni są zastąpione od wypadku przez odrony. Klepisko samo odskakuje w razie zapchania.

MŁOCARNIE CEPOWE,

trybowe, z manezami.

WIALNIE, tak zwane amerykańskie, tanie a dokładnie czyszczące, w różnych wymiarach, wszystkie zaopatrzone w dolne sita ruchome.



le fabryk zagranicznych i krajowych. Zbudowane całe z żelaza, zajmują mało miejsca i dają równą siećkę, krajankę lub śrótkę — drobniej-

Grzech wazelný (płacono) od 1 r. 30 k. do 1 r. 40 k.
Grzech „Wiktorja“ (żądano) od 1 r. 60 k. do 1 r. 75 k.
Grzech na paxę (żądano) od — k. do — k.

Potrzebny młynarz młody, żonaty, bezdzietny; płacy rocznie r. 100, mieszkanie, opał, światło i życie. List pisać do Józefa Skalskiego w Chotmyżsku w gub. kurskiej, pocza Hołowczyzna. (Adres po rossyjsku.) 3616

Ogrodnik znający „gruntownie swój zawód, szczególnie kwaciarstwo i prowadzenie szkółek owocowych, poszukuje posady. Ma dobre świadectwa. A. Wziesiński, Nowosielica w gub. bessarabskiej, skzynka pocztowa № 13 (adres do tój gubernji po rossyjsku). 3606—2—2

Do sprzedania 95 1/4 morgów gruntu ornego z niewielką ilością łąki i nizin, po dwa tysiące rubli za włokę. Grunt lekki, figura prawie kwadratowa, cztery wiorsty od stacji kolejowej. Blizsza wiadomość w zarządzie majątku Dwórzec przez stację drogi żel. Nadwiślańskiej Leopoldów. 3571—3—3

Do sprzedania gospodarstwo: 42 morgi ziemi, móg olzyny zabudowania i sad, w Ławkach przez Grójec w gub. warszawskiej, gmina Wągrodnno. Królikowski. 3619

Do sprzedania na morgi gruntu i łąki w Łowiczu. Wiadomość na miejscu u S. Wilkozewskiego, w gmachu Szkoły Polskiej. 3620

Sz. PP. Organistom polecam znany wyrób gwiazdek do opłatków. Mieszkam w Kaliszu przy kolegiacie, ztąd zamówienia począ wysyłane będą. Spzedaz osobista w Warszawie w redakcji „Kroniki Rodzinnej“, ul. Krakowskie-Przedmieście, 20. Gwiazdki od 2 kop. sztuka. Florentyna Stańczakowa. 3599

SZCZEPY OWOCOWE

wysokopienne, silne, w odmianach handlowych, pewnych.

Dom. Modrzew p. Opoczno, gub. radomska.

Wiadomość na miejscu u ogrodnika p. K. Rokiego, albo w Warszawie u właściciela W-go Karwickiego, ulica Hoża, № 25.
Ceny nizkie. 3618

Historja cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej oraz innych obrazów w Wilnie. K. 20.
Szymon Konarski, podług niewydanych dokumentów opracował dr. Wł. Zahorski. Kop. 25.
Plan Wilna, z alfabetycznym spisem kościołów, gmachów, ulic. Kop. 50.

Bajarz Polski. Baśnie, powieści i gawędy ludowe, opow. A. Gliński, 4 tomy. Rubel 1.

Wydawnictwo groszowe, oddzielne powiastki z Bajana Polskiego po 10 i 12 groszy.

Nakład księgarńi W. Makowskiego w Wilnie. Do nabycia we wszystkich księgarńiach. 3613—3—2

szą, lub grubszą — w wielkiej ilości. Maszynami Bentalla przy tym samym wysiłku pracy można zrobić dwa razy tyle, co maszynami dawniejszej budowy.

Komu potrzeba noży do sieczkarń, temu zwracam szczególną uwagę na KOSY ANGIELSKIE BURYSY. Koniecznie takich tylko należy wymagać. Takich noży nikt w Europie nie potrafi naśladować. Trzymają ostre i hart znakomicie, i dlatego słomę krają równo i lekko, rzadko wymagając ostzenia. Jedna kosa Buryasa starczy często za kilka lichszych.



PARNIKI FENCKIEGO (VENTZKIEGO) prostéj bardzo budowy, nie mają bowiem żadnych osobnych urządzeń do wytwarzania pary, nadają się do opalania każdym materiałem: węglem, dżewem, lub torfem. Szczególniej zdadne są do parowania kartofli; dają się użyć i do odgoryczania łubinu i do zagzania wody. Ustawione być mogą w budynku lub na powietrzu.

ALFRED GRÓDZKI,

Warszawa, ulica Senatorska, 33.

Opisy z rysunkami wysyłam każdemu na żądanie.

3604—4—3